

MUZYKANCI

DOŁY

Tam, gdzie praktycznie kończyło się miasto, za pętlą tramwaju, za skrytym w wykopie torem kolejowym i pstrym kwadratem ogródków działkowych, rozciągało się nierówne, pagórkowate pole, zaśmiecone i zryte, szczerzące się złomami betonu i kłami drutu zbrojeniowego, gęsto porośnięte ostem, perzem, mietlicą, mleczem i szarłatem.

Był to pas ziemi niczyjej, frontowa strefa pomiędzy kamienną ścianą bloków mieszkalnych a odległym, ciemnozielonym lasem, zasinionym mgłą smogu.

Teren ten ludzie nazywali Dołami. Nie była to prawdziwa nazwa tego miejsca.

Okolica ta zawsze była pusta, z rzadka penetrowana nawet przez wszędobylskie dzieci, które, na wzór rodziców, preferowały do zabaw miejsca ukryte w bezpiecznych i przytulnych żelbetowych kanionach. Czasem tylko, i to na samym skraju, zasiadali tu pijaczkowie, atawistycznie ciągnący ku zieleni. Poza tym na Doły nie zapuszczał się nikt.

Nie licząc kotów.

Kotów było pełno na całym osiedlu, ale Doły były ich królestwem, niekwestionowaną domeną i azylem. Osiedlowe psy, regularnie szczute na koty przez swoich właścicieli, zatrzymywały się na pograniczu pustkowie, wracały, kuląc ogony i skamłąc. Z pokorą przyjmowały okrutne cięgi, spuszczone im przez panów „za tchórzostwo” — Doły budziły w nich większy strach niż razy.

Ludzie również czuli się na Dołach nieswojo. W dzień. Bo w nocy na Doły nie zapuszczał się nikt.

Nie licząc kotów.

W ciągu dnia przyczajone i ostrożne, nocą koty krążyły po Dołach miękkim, ostrzegawczym krokiem, dokonywały niezbędnych korekt liczebności miejscowych szczurów i myszy, budziły mieszkańców pogranicznych bloków przeraźliwym wrzaskiem, oznajmiającym miłość lub krwawy bój. W nocy koty czuły się na Dołach bezpiecznie. W dzień nie.

Mieszkańcy osiedla nie lubili kotów. Zważywszy, że stworzenia, które lubili i które trzymali w swoich kamiennych gniazdach, zwykli byli od czasu do czasu bestialsko męczyć, określenie „nie lubili” w stosunku do kotów nabierało właściwego, ponurego wyrazu. Bywało, że koty zastanawiały się, gdzie leży przyczyna tego stanu. Poglądy były różne — większość kotów uważała, że winę ponoszą owe drobne, pozornie nic nie znaczące drobiazgi, które powoli, acz skutecznie, zabijały ludzi i wiodły ich do obłędu — ostre, mordercze igiełki azbestu, które nosili w płucach, zabójcze promieniowanie, płynące z płyt będących ścianami ich siedzib, kwaśne, życiogubne powietrze, bezustannie wiszące nad miastem. Cóż dziwnego, mówiły koty, że ktoś balansujący na krawędzi zagłady, truty, trawiony przez jady i choroby, nienawidzi witalności, zwinności i siły? Że ktoś roztrzęsiony, nie znający spokoju, wściekłością i szałem reaguje na ciepły, puszysty i rozmruczany spokój innych? Nie, nie było w tym niczego, czemu należało się dziwić. Należało natomiast być czujnym — należało uciekać co sił w nogach, co długości w wyciągniętym skoku, gdy dostrzegło się na horyzoncie duże lub małe dwunogie sylwetki. Należało strzec się kopniaka, kija, kamienia, zębów szczutego psa, kół samochodu. Należało umieć rozpoznać okrucieństwo, kryjące się za cedzonym zza zaciśniętych zębów: „Kici, kici”. I tyle.

Były jednak wśród kotów i takie, które uważały, że przyczyna nienawiści leży gdzie indziej. Że ukryta jest w Dawnych Czasach.

Dawne Czasy. Koty wiedziały o Dawnych Czasach. Obrazy z Dawnych Czasów widywało się nocami na Dołach.

Bo Doły nie były zwykłym miejscem. Podczas rozświerszczonych, księżycowych nocy koty widziały obrazy dostępne wyłącznie ich kocim źrenicom. Zamglone, rozmigotane obrazy. Korowody długowłosych panien dookoła dziwacznych budowli z kamienia, obłąkańcze wycia i podskoki wokół okaleczonych ciał zwisających z drewnianych rusztowań, szeregi zakapturzonych ludzi z pochodniami w rękach, płonące domy z wieżami zakończonymi znakiem krzyża, takie same krzyże, ale odwrócone, zatknięte w czarną, pulsującą ziemię. Stosy, pale i szubienice. I czarnego człowieka, wykrzykującego słowa. Słowa będące, jak wiedziały koty, prawdziwą nazwą miejsca nazywanego Dołami.

Locus terribilis.

W takie noce koty bały się. Koty czuły, jak drga Zasłona. Przypadały wówczas płasko do ziemi, wpijały pazury w grunt, bezgłośnie otwierały wąsate pyszczki. Czekały.

I wówczas rozbrzmiewała muzyka. Muzyka, zagłuszająca niepokój, kojąca strach, niosąca błogość, zwiastująca bezpieczeństwo.

Bo oprócz kotów, na Dołach mieszkali Muzykanci.

VEEHAL

Dzień zaczął się tak samo, jak wszystkie inne dni — chłodny ranek rozgrzał się i rozleniwił ciepłym, jesiennym przedpołudniem, rozświecił się smużkami babiego lata w swym zenicie, rozchmurzył i zamglił pod wieczór, zaczął gasnąć.

To stało się zupełnie niespodziewanie, nagle, bez ostrzeżenia.

Veehal rozdarł powietrze, przeleciał po chwastach jak wichur, zwielokrotnił się echem odbitym od kamiennej ściany bloków. Potworny strach zjeżył przegowane i łaciate futerka, położył uszy, wyszczerzył kielki.

Veehal!

Męczarnia i śmierć!

Mord!

Veehal!

Zasłona! Zasłona pęka!

I muzyka.

Uspokojenie.

Syreny karetek spłynęły na ogródki działkowe dopiero później.

Dopiero później zaczęła się oszalała krzątanina ludzi w białych i niebieskich ubraniach. Koty patrzyły na to z ukrycia, spokojne i obojętne. To już ich nie dotyczyło.

Ludzie biegali, krzyczeli, klęli. Ludzie wynosili spomiędzy altanek ciała, zmasakrowane, zniekształcone, sączące krew przez białe prześcieradła. Ludzie w niebieskich ubraniach odpychali od drucianej siatki innych, tych, którzy nadbiegali od strony osiedla. Koty patrzyły.

Jeden z ludzi w niebieskich ubraniach, wytoczywszy się na otwartą przestrzeń, wymiotował, krztusił się. Ktoś krzyczał, krzyczał okropnie.

Wściekle roztrzaskały się drzwi samochodów, potem znowu wyły syreny.

Koty mruczały cicho. Koty słuchały muzyki. Tamto już ich nie dotyczyło.

KROSTOWATY

Pograżony w sieci tonów, wiążących i klejących przedartą Zasłonę delikatną przędzą muzyki, Krostowaty cofnął się, siejąc wokół kropelkami krwi ściekającej z pazurów i kłów. Cofnął się, zniknął, odgradzany od przejścia kleistym spoiwem, po raz ostatni, już zza Zasłony, tchnął ku Muzykantom nienawiścią, złością i groźbą.

Zasłona zrosła się, zatarł się ostatni ślad pęknięcia.

MUZYKANCY

Muzykanci siedzieli w cieniu pogiętego, okopconego, zarytego w ziemię pieca.

— Udało się — powiedział Kersten. — Udało się tym razem.

— Tak — potwierdził Itka. — Ale następnym razem... Nie wiem.

— Będzie następny raz — zaszeptał Pasiburduk — Itka? Będzie następny raz?

— Ponad wszelką wątpliwość — rzekł Itka. — Nie znasz ich? Nie wiesz, o czym teraz myślą?

— Nie — powiedział Pasiburduk. — Nie wiem.

— A ja wiem — mruknął Kersten. — Dobrze wiem, bo ich znam. Myślą o zemście. Dlatego musimy ją odnaleźć.

— Musimy — powiedział Itka. — Musimy ją wreszcie odnaleźć. Tylko ona może ich powstrzymać. Ona ma z nimi kontakt. A gdy już będzie z nami, odejdziemy stąd. Do Bremy. Do innych. Tak, jak każe Prawo. Musimy iść do Bremy.

BŁĘKITNY POKÓJ

Błękitny pokój żył własnym życiem. Oddychał zapachem ozonu i rozgrzanego plastiku, metalu, eteru. Tętnił, jak krwią, elektrycznością bzyczącą w izolowanych kablach, oleisto lśniących wyłącznikach, klawiszach i wtyczkach. Migotał szklistą poświatą ekranów, mnóstwem złych, czerwonych oczek czujników. Pysnił się majestatem chromu i niklu, powagą czerni, dostojeństwem bieli. Żył.

Wzbudzał respekt. Dominował.

Debbe poruszyła się w uścisku rzemieni, rozpinających ją na płask na pokrytym prześcieradłem i ceratą stole. Nie czuła bólu — igły, wbite w czaszkę, i zębate blaszki, przypięte do uszu, nie bolały już, ciążyły tylko splecione koroną przewodów, szpeciły, hańbiąco krępowały, ale przestały zadawać cierpienie. Nieruchomym, bezbarwnym wzrokiem Debbe patrzyła na pelargonie stojącą na parapecie. Pelargonia była w tym pokoju jedyną rzeczą, żyjącą własnym, niezależnym życiem.

Nie licząc Izy.

Iza, zgarbiona nad stołem, pisała szybko, drobnym maczkiem pokrywając strony zeszytu, od czasu do czasu postukując palcami po klawiaturze komputera. Debbe wsłuchiwała się w tętno Pokoju.

— No, maleńka — powiedziała Iza, odwracając się. — Zaczynamy.

Spokojnie.

Szczęknał wyłącznik, zabręczały silniki, drgnęły ogromne szpule, łypnęły krwawe czerwone światełka. Przez okrągłe, kratkowane okna ekranów popędziły w podskokach świetliste myszki. Rysiki zadygotały, rozkołysały się jak cienkie, pajęczne nogi, popęzły na bębnach grzebieniaste linie.

Debbe.

Iza gryzła długopis, wpatrując się w rzędy cyfr, przerażająco równo wyskakujących na ekranie monitora, na linie, na pudełkowate wykresy.

Mruczała pod nosem, długo pisała w zeszycie. Paliła. Przeglądała wydruki. Wreszcie szczęknał wyłącznik.

widziała pelargonię. Czula suchość w nosie, chłodniejące gorąco, spływające od czoła ku oczom. Drętwienie, drętwienie całego ciała.

Iza przeglądała wydruki. Niektóre z nich mięła i ciskała do przepelnionego kosza, inne, oznaczone szybkimi pociągnięciami długopisu, spinała i odkładała na równy stos.

Pokój żył.

— Jeszcze raz — powiedziała Iza. — Jeszcze raz, mała.

Debbe.

Niebieski ekran wyczarowywał zygzaki i linie, regularnymi warstwami piętrzył kolumny cyferek. Rysik, płynnie i spokojnie falując, kreślił na bębnie fantastyczny horyzont.

To my. Musisz,

zdziwiła się, słysząc ten głos. Nigdy przedtem nie słyszała tego głosu, głosu silniejszego niż głos Pokoju, silniejszego niż piekące gorąco, bulgocące w jej mózgu. Igły, od których jeżyła się jej głowa, zawibrowały.

Muzyka! Muzyka! Muzyka!

Czerwona linia na ekranie skoczyła w górę, rysik targnął się i narysował w rozedrganej kresce trzy lub cztery potężne szczyrby.

musisz z nami do Bremy.

— Co jest, cholera — szepnęła Iza, wpatrzona w ekran. Zapominając o tłącym się na popielniczce papierosie, zapaliła drugiego. Wciskała włączniki jeden po drugim, próbując opanować szalejące ekrany.

— Nic nie rozumiem. Co się dzieje, mała?

Wreszcie zrobiła to, co należało. Wyłączyła prąd.

— Nieee — powiedziała przeciągle Debbe. — Nie chcę, jasnowłosa. Nie chceęęę!

Iza wstała, pogłaskała ją po głowie i grzbiecie. Wszystkie linie na ekranie popędziły ku górze, a rysik zaszamotał się dziko. Iza tego nie widziała.

— Biedny kotek — powiedziała, głaszcząc jedwabiste futerko Debbe. — Biedna kicia. Żebyś wiedziała, jak mi cię żal. Ale przysłużysz się nauce, koteczku. Przysłużysz się wiedzy.

Za plecami Izy kursor komputera podreptał w prawo, rzędami małych, kanciastych literek wypisał: „Incorrect statement” i zgasł. Zupełnie.

Rysik zatrzymał się na bębnie.

Świetlista myszka na okrągłym, kratkowanym ekranie pisnęła raz jeszcze i zamarła.

Iza, czując nagle mroczącą oczy słabość, opadła ciężko na biały, trójnogi stółek.

Muzyka, pomyślała, skąd ta...

Debbe mruczała z przejęciem, z łatwością i lekko, płynnie i naturalnie dopasowując się do harmonii biegnących zewsząd tonów.

Odnajdywała w nich siebie, swoje miejsce, swoje przeznaczenie. Czuła, że bez niej ta muzyka jest niepełna, kaleka. Głosy, punktujące akordy, potwierdzały to. *To ty, mówiły, to ty. Uwierz w siebie. To właśnie ty.*

Uwierz.

Debbe wierzyła.

My, mówiły głosy, to ty. Słuchaj. Słuchaj nas. Słuchaj naszej muzyki. Twojej muzyki. Czy słyszysz?

Debbe słyszała.

Czekamy na ciebie, mówiły głosy. Wskażemy ci drogę do nas. A gdy już będziesz z nami, wyruszymy razem do Bremy. Do innych Muzykantów. Ale najpierw musisz dać im szansę. Tylko ty możesz to zrobić. Możesz dać im szansę. Posłuchaj. Powiemy ci, co się stało. Powiemy ci, co zrobić, aby ich powstrzymać. Słuchaj.

Debbe słuchała.

Czy zrobisz to?

Tak, powiedziała Debbe. Zrobię.

Muzyka odpowiedziała kaskadą dźwięków.

Iza martwym wzrokiem patrzyła na pelargonie.

Spójrz na mnie, jasnowiąsa, powiedziała Debbe. Czarna litera „M” na czole kotki, znamię wybranki, znak Pająka Pogońca, błysnęła, zaślniła metalicznym pawim połyskiem.

Spójrz mi w oczy.

NEJMAN

— Dwóch — powiedziała pielęgniarka. — Jest ich dwóch. Siedzą w pokoju ordynatora. Recka zrobiła im kawy. Ale mówili, że im się spieszy.

— Czego może chcieć ode mnie milicja? — Iza zdusiła niedopałek papierosa w blaszanym, chwiejnym talerzu korytarzowej popielniczki. — Nie mówili?

— Nic nie mówili — pielęgniarka wykrzywiła pucułowatą buzię. — Wie pani, pani doktor. Oni nigdy niczego nie mówią.

— Skąd mam wiedzieć?

— Niech pani idzie. Mówili, że im się spieszy.

— Idę.

Było ich rzeczywiście dwóch. Przystojny blondyn, kawał chłopca w denimowej kurtce i brunecik w ciemnym swetrze.

Na widok wchodzącej Izy wstali obaj. Zdziwiła się — gest był niecodzienny nawet u zwykłych mężczyzn, a zupełnie nieprawdopodobny u milicjantów. Policjantów, poprawiła się w myśli i równocześnie zawstydzila się — zawstydzila stereotypu, któremu bezwiednie się poddała.

— Pani doktor Przemęcka — stwierdził fakt blondyn.

— Tak.

— Izabella Przemęcka?

— Tak. Niech panowie usiądą, proszę. Słucham panów.

— A nie — uśmiechnął się blondyn. — To ja słucham.

— Nie bardzo pana rozumiem, panie...

— Komisarzu. To odpowiednik dawniejszego porucznika.

— Chodziło mi o nazwisko, nie o szarżę.

— Nejman. Andrzej Nejman. A to jest aspirant Zdyb. Przepraszam panią, pani doktor. Uznałem prezentację za zbędną, bo pani mnie przecież zna. Pani telefonowała do mnie. Wymieniając moje nazwisko. I szarżę, jak się pani dowcipnie wyraziła.

— Ja? — zdziwiła się szczerze Iza. — Ja do pana telefonowałam? Proszę pana, ja od początku przypuszczałam, że to jakaś pomyłka. A teraz jestem pewna, że tak jest. Nigdy nie dzwoniłam na milicję. Nigdy. Pomylił mnie pan z kimś innym.

— Pani Izo — powiedział poważnie Nejman. — Bardzo proszę, niech pani nie utrudnia mi zadania. Pracuję nad sprawą morderstwa popełnionego na ogródkach działkowych imienia Róży Luksemburg, obecnie generała Andersa. Pewnie pani słyszała: trzech nastolatków zaszlachtowanych przy użyciu sierpa, kosy, bosaka lub podobnego narzędzia. Słyszała pani? To niedaleko stąd, na przedmieściu.

— Słyszałam. Ale co ja mam z tym wspólnego?

— Nie wie pani? Zajmuje się pani jedną z ofiar tego wypadku. Pośrednią ofiarą, tak to nazwijmy. Elżbieta Gruber, lat dziewięć. Ta mała dziewczynka, która widziała cały przebieg zdarzenia, przebieg zbrodni. Leży w tym szpitalu. Słyszałem, że pani się nią zajmuje.

— Ach, ta dziewczynka w komatozie... Nie, panowie, to nie jest moja pacjentka. Doktor Abramik...

— Doktor Abramik, z którym już rozmawiałem, twierdzi, że pani bardzo interesuje się tym przypadkiem. Ta Gruber to pani krewna?

— Skądże znowu... Żadna krewna, nie znam jej. Nie znałam nawet jej nazwiska...

— Pani Izo. Niech pani przestanie. Tolek, pozwól.

Brunecik sięgnął do aktówki, wyjął mały, płaski magnetofon, National Panasonic.

— U nas — powiedział Nejman — nagrywa się rozmowy. Pani rozmowa ze mną też została nagrana. Niestety, nie od początku...

Wbrew woli komisarz zaczerwienił się. Początek rozmowy nie nagrał się z prozaicznych powodów — w kieszeni magnetofonu tkwiła wówczas kasetka z „But Seriously” Phila Collinsa, przegrana z płyty kompaktowej. Brunecik wcisnął klawisz.

— ...przerywaj, Nejman — powiedział głos Izy. — Co cię to obchodzi, kto mówi? Ważniejsze jest, co mówi. A mówi to: nie wolno ci zrobić tego, co zamierzasz. Rozumiesz? Nie wolno. Co chcesz osiągnąć? Chcesz wiedzieć, kto zabił chłopców na ogródkach działkowych? Mogę ci powiedzieć, jeśli chcesz.

— Tak — powiedział głos komisarza. — Chcę. Proszę mi powiedzieć, kto to zrobił.

— Zrobił to ten, który przeszedł przez przedartą Zaslone. Gdy rozbrzmiał veehal, Zaslona pękła, a on przeszedł. Kiedy Zaslona pęka, ci, którzy znajdują się w pobliżu, są zgubieni.

— Nie rozumiem.

— I nie musisz — powiedział ostro głos Izy. — Wcale nie musisz rozumieć. Masz po prostu przyjąć do wiadomości, że ja wiem, co zamierzasz uczynić. Wiem też, że tego zrobić nie wolno. I po prostu dzielę się z tobą tą wiedzą. Jeśli mnie nie posłuchasz, skutki będą straszne.

— Chwileczkę — odezwał się głos Nejmana. — Miała mi pani powiedzieć, kto...

— Już powiedziałam — przerwał głos Izy.

— Niech więc pani powtórzy, proszę.

— Po co ci to? Myślisz, że możesz coś zrobić temu zza Zaslony? Jesteś w głębokim błędzie. On jest poza twoim zasięgiem. Ale ty... Ty jesteś w jego zasięgu. Strzeż się.

— Pani mi grozi. — To było stwierdzenie, nie pytanie.

— Tak — powiedział beznamyślnie głos Izy. — Grożę. Ale to nie ja ci zagrażam. Nie ja. Nie potrafię wytłumaczyć ci wielu rzeczy, wielu faktów, nie mogę znaleźć właściwych słów. Ale

jedno mogę... mogę cię ostrzec. Czy nie za dużo już było ofiar? Ci chłopcy, Elżbieta Gruber. Nie rób tego, co zaplanowałaś, Nejman. Nie rób tego.

— Proszę posłuchać...

— Dosyć. Zapamiętaj. Nie wolno ci.

Trzasnęła słuchawka.

— Pan mi pewnie nie uwierzy... — zaczęła Iza.

— Już nie jesteśmy na ty? — przerwał Nejman. — Szkoda. To było miłe i bezpośrednie. W co nie uwierzę? Że to nie była pani? Faktycznie, trudno by mi było. A teraz, proszę bardzo, słucham. Co ja zaplanowałem? Dlaczego nie wolno mi tego zrobić?

— Nie wiem. To nie ja... To nie był mój głos.

— Kim jest dla pani mała Gruber?

— Nie wiem... Nikim... Ja...

— Kto zamordował dzieciaki na działkach? — Nejman mówił cicho, nie krzyczał, ale mięśnie na szczękach drgały mu wyraźnie i miarowo. — Kto to był? Dlaczego jest poza moim zasięgiem? Dlatego, że jest nienormalny, prawda? Jeżeli go złapię, nie pójdzie do pudła, ale do szpitala, takiego jak ten? A może właśnie do tego? A może już tu był? Co? Pani doktor?

— Nie wiem! — Iza uniosła pięści w mimowolnym geście. — Nie wiem, mówię panu! To nie ja dzwoniłam! Nie ja!

Nejman i aspirant Zdyb milczeli.

— Ja wiem, co pan myśli — powiedziała wolno Iza.

— Wątpię.

— Pan myśli... Że jak w tym dowcipie... że my tym się różnimy od pacjentów, że chodzimy na noc do domu.

— Brawo — powiedział Nejman bez uśmiechu. — A teraz słucham.

— Ja... niczego nie wiem. Ja nie telefonowałam...

— Pani doktor — powiedział Nejman spokojnie i przymilnie, jak do dziecka. — W porządku, ja wiem, że taśma magnetofonowa to wątlutki dowód. Że może pani zaprzeczyć. Może pani, na ogólnie przyjętej fali, oskarżyć nas nawet o manipulację, o fabrykowanie dowodów, o co pani chce. Ale jeżeli faktycznie chodzi pani na noc do domu zasłużenie, a nie tylko dzięki czyjemuś błędowi w diagnozie, to orientuje się pani, jakie będą skutki, gdy sprawa się wyda. A sprawa wyda się prześlicznie. Musi się wydać, bo tak się składa, że zamordowani chłopcy mają ważnych rodziców i żadna siła nie wstrzyma śledztwa, wręcz przeciwnie. Wie pani, co się wówczas stanie.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi.

— To ja pani powiem. Pani myśli, że jeżeli maniak z ogródków jest pani krewnym lub kimś bliskim, to nie będzie pani odpowiadać karnie za krycie go. Może. Ale oprócz odpowiedzialności karnej jest jeszcze inna odpowiedzialność. Jeżeli okaże się, że kryła pani homicydalnego maniaka, to w tym szpitalu, a i w innych szpitalach tej branży na całym świecie, będzie pani skończona. Uratować może panią jedynie zdrowy rozsądek. Czekam, aż go pani przejawia.

— Pan... Powtarzam, że nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi — opuściła głowę Iza. — To nie był mój głos, słyszy pan? Podobny, ale nie mój. To nie był mój sposób wyrażania się. Ja tak nie mówię. Może pan spytać, kogo pan chce!

— Pytałem — powiedział Nejman. — Mnóstwo osób panią rozpoznało. Wiem też, z jakiego aparatu dzwoniło. Niech się pani poważnie zastanowi, pani Izo. Proszę przestać kierować się emocjami. Mamy do czynienia z morderstwem, z bestialskim mordem popełnionym na ludziach. Na ludziach, rozumie pani? Pojmuje pani, że tego nie można usprawiedliwić niczym, a już na pewno nie troską o dobro zwierzątek. Ta zbrodnia to typowy przejaw reakcji paranoika, maniaka.

Pomścił kota, zabił dzieci, które go męczyły. A jutro zamorduje kogoś, kto bije psa. Pojutrze zakatrupi panią, gdy rozdepcze pani szczypawkę na chodniku.

— O co panu chodzi?

— Twierdzę, że świetnie pani wie, o co mi chodzi. Bo pani wie, kto to zrobił i dlaczego to zrobił. Bo pani go leczyła, albo nadal leczy, i wie, na czym polega, przepraszam, zajob pani pacjenta. To jest ktoś, przepraszam, szurnięty na punkcie dobroci dla zwierząt.

— Panie Nejman — powiedziała Iza, dygocąc, nie panując nad drżeniem rąk i uciskiem w mostku. — To pan jest szurnięty. Przepraszam. Niech mnie pan aresztuje. Albo niech mnie pan zostawi w spokoju.

Nejman wstał, aspirant Zdyb wstał również.

— Szkoda — powiedział komisarz. — Szkoda, pani Izo. Gdyby pani się jednak zdecydowała, proszę do mnie zatelefonować.

— Nie mam na co się decydować — powiedziała Iza. — I nie znam pana numeru.

— Ach tak — Nejman pokręcił głową, patrząc jej w oczy. — Rozumiem. Szkoda. Do widzenia, pani Izo.

CHĘCLEWSKI

— Panie Chęclewski — powiedział komisarz policji Nejman. — Myślałem, że mam do czynienia z poważnym człowiekiem...

— Ej! — adwokat uniósł rękę w ostrzegawczym geście. — Uważaj pan. Nie jesteśmy w komisariacie. O co panu chodzi, do cholery?

— Widzi pan — powiedział aspirant Zdyb, nie kryjąc złości. — Tyle było dowcipów o milicjantach, a tak mało o mecenasach. A wygląda, że niesłusznie.

— Jeszcze słowo, a wyrzucę was obu za drzwi — powiedział wolno Chęclewski. — Co to za gadka? Na co wy sobie pozwalacie, panowie milicjanci?

— Policjanci, jeśli łaska.

— Policjanci od siedmiu boleści. Zabójca mojego syna chodzi sobie na swobodzie, a wy tutaj przychodzicie wygadywać brednie. No, jazda, kawę na ławę. Mój czas to są pieniądze, panowie.

— Pan za dużo gada — rzekł Nejman. — Jak się pan zapamięta, to nie może przerwać. Gada pan do nas, a co gorsza, także do innych. I przez to rypla się cała sprawa, panie mecenasie.

— Co się rypló? Jaśniej, panowie.

— Nazwisko Przemęcka mówi panu coś? Doktor Przemęcka, z wariatkowa.

— Nie mam znajomości u czubków. Co to za jedna?

— Ta jedna wie o wszystkim, cośmy zaplanowali. Nie od nas. Wychodzi na to, że wie od pana. A jeśli tak jest, to nie ona jedyna.

— Bzdura, czyli bullshit — wyprostował się Chęclewski. — O planie wiem wyłącznie ja i wy obaj. Ja nie mówiłem o tym nikomu. To wy jęczyliście i stękaliście, że nie możecie niczego zrobić bez wiedzy przełożonych. A więc poinformowaliście przełożonych, a przełożeni zapewne poinformowali pół miasta, w tym i doktor Przesmęcka, czy jak jej tam. Quod erat demonstrandum, czyli co było do okazania. Szkoda, panowie. I pan się pomylił, panie Zdyb. W dowcipach o milicjantach jest jednak sporo prawdy.

— Nie mówiliśmy o niczym nikomu — poczerwieniał aspirant. — Nikomu, słyszysz pan? Ani przełożonym, ani żonom. Nikomu.

— Dobra, dobra. Cudów nie ma. Chyba, że... Ta doktor z wariatkowa, jak mówicie, mogła was po prostu podpuścić. Blefować. Co wam powiedziała? Kiedy? Przy jakiej okazji?

— Niech pan sam posłucha. Daj magnetofon, Andrzej.

Siedzieli, paląc papierosa za papierosem. Nejman obserwował, jak w domu naprzeciwko łysy facet z pomocą kilku koleżków montuje na balkonie wielką micę, wyglądającą, wypisz wymaluj, jak antena satelitarna. Z sąsiedniego balkonu, na którym stał jaskrawo pomalowany koń na biegunach, przepelzła do monterów łaciata świnka morska. Łysy, nie puszczając michy, kopnął ją. Świnka spadła z balkonu. Nejman nie wstał, by zobaczyć, co się z nią stało. To było ósme piętro.

— Taaak — powiedział adwokat, wysłuchawszy nagrania do końca. — Czy ona ma aby wszystkich w domu, ta lekarka? Znacie ten dowcip...

— Znamy — powiedział aspirant Zdyb.

— Zasłona. Jaka zasłona? I ten... wehał, czy jak... Bełkot jakiś. Ta doktorka... Przesmycka?

— Przemęcka.

— Znacie ją? Sprawdzaliście, co to za jedna?

— Sprawdzaliśmy. Młoda, bez dużej praktyki klinicznej, mało kontaktów z pacjentami. Zajmuje się jakimiś badaniami. To skomplikowane, cholera, chodzi o fale mózgowo, neurony, zapomniałem.

— Szalona pani doktor Frankenstein — wykrzywił się adwokat. — Wiecie co? Ja bym się całą sprawą nie przejmował.

— A ja odwrotnie — powiedział Nejman. — Więcej powiem, już się zacząłem przejmować. Panie Chęclewski, u nas się jeszcze nie skończyło, czystka trwa. Komuś może cholernie zależeć, żeby mnie udupić. Lekko pieprznięta lekarka to taki sam instrument prowokacji, jak każdy inny, ani lepszy, ani gorszy. Ja to mam przerobione.

— Pan jesteś egocentryk, panie Andrzeju — rzekł Chęclewski. — Pańska osoba w tej sprawie jest, wybaczy pan, mało ważna.

— Oby — uśmiechnął się komisarz. — Wcale bym się nie zmartwił. Ale i pan, drogi panie Chęclewski, chyba się mylił. Po telefonie od pani doktor głowę bym sobie dał urwać, że pańskiego syna zabił przypadkowy szaleniec. To nie była żadna zemsta. Niezależnie kogo i dlaczego bronił pan w stanie wojennym i ilu sekretarzom zrobił pan koło pióra po. Piasecki to pan nie jest. Wybaczy pan.

— Konkluzja? — adwokat poczerwieniał lekko.

— Prosta jak drut. Jeżeli to jest szaleniec, to z punktu widzenia prawa jest to człowiek chory. Chory, rozumie pan, mecenasie?

— Jak słyszę coś takiego — wybuchnął Chęclewski — to mi zęby trzeszczą! Chory, skurwysyn! On mojego Maćka... Chory!

— Ja pana rozumiem. Mnie też trzęsie. Ale nic nie da się zrobić i to wyraźnie powiedziała ta lekarka. Załóżmy, że blefowała, że nie wie nic o naszym planie. Ale mogła się domyślić, więc ostrzegła mnie. Wyraźnie mnie ostrzegła.

— Pan się w jej bełkocie doszukał ostrzeżenia? Przed czym?

— Niech się pan nie zgrywa. Ostrzegła mnie, żebym nie próbował ująć tego wariata w charakterze zimnego mięsa. Mogę go aresztować używając łagodnej perswazji, związać w kaftan i oddać specjalistom. Na kurację.

— Strach pana obleciał, panie Andrzeju, i dlatego nieprawidłowo pan rozumuje — adwokat splótł dłonie. — Ja też słuchałem tego nagrania. I zupełnie co innego miało w nim kardynalne znaczenie. Niech pan posłucha.

Zabawimy się. Ja będę panem, a pan pańskim pułkownikiem czy tam inspektorem policji, tak to się teraz nazywa, jeśli się nie mylę. Słuchaj pan, panie inspektorze policji. Przeanalizowałem dziwną rozmowę z panią doktor Iks. Uderzyło mnie, że kilkakrotnie używała słów, z których wynikało, że podejrzany furia jest straszliwie niebezpieczny. Utkwiło to w mojej podświadomości tak głęboko, że kiedy doszło do konfrontacji, nerwy mi puściły. Widząc, że atakuje mnie z niebezpiecznym narzędziem, użyłem broni służbowej, nie przekraczając granic obrony koniecznej. Co? Dobrze było, panie inspektorze. Dobrze tłumaczenie?

— W dupę niech pan sobie wsadzi takie tłumaczenie — powiedział spokojnie Nejman. — Tak powiedziałby, oczywiście, mój inspektor do mnie.

Panie mecenasie, pan dobrze wie, co oznacza obrona konieczna w przypadku uzbrojonego policjanta, który w dodatku wie, że ma do czynienia z kimś o ograniczonej poczytalności. To nie jest Ameryka. Nie mam zamiaru trafić do kryminału.

Adwokat zamyślił się, milczał przez dłuższą chwilę.

— No, dobrze — powiedział wreszcie. — Może faktycznie ma pan rację, panie Nejman. Co więc robimy?

— Rozwiązujemy umowę.

— No, tu idzie już pan nieco za daleko, nie uważa pan? Rozumiem, strzelanie nie wchodzi w grę ani żaden inny poważny wypadek. Ale facet może stawiać opór. Uciekać. Może się potknąć i zdrowo potłuc. Słyszałem o takich wypadkach, nasłuchiwałem się o nich od moich klientów. A propos, wiecie, panowie, że kilku moich klientów jest obecnie w Warszawie?

— I co z tego?

— Bardzo wiele z tego. Moja propozycja jest taka: utrzymujemy umowę w mocy. Proponuję korzystne warunki. Za umożliwienie mi osobistego udziału w akcji, za satysfakcję dotknięcia ręką i nogą mordercy mojego syna daję wam poparcie z bardzo wysoka na wypadek dalszych czystek w policji, względnie jakichś nieprzewidzianych komplikacji w naszym planie. Moi przyjaciele z Warszawy, jeśli będzie trzeba, uciszą też panią Przemęką od czubków, nie bójcie się. No, a do tego, jak się umówiliśmy, dochodzi konkretna gratyfikacja finansowa dla was dwóch.

— Trzech — powiedział aspirant Zdyb.

— Jak to, do diabła? — zdenerwował się Chęclewski. — Trzech? Trzech to wielka gromada ludzi, imię ich jest legion, kurwa. Po co trzeci?

— Dla uwiarygodnienia raportu. Tak się u nas zawsze robi. Trójka murarska. Panie mecenasie, pan jest od koncepcji, my od techniki. Znamy się na tym.

— Pewny chociaż ten trzeci?

— Sto procent, czyli hundred per cent.

— Niech więc będzie — skrzywił się adwokat. — No? Panie Nejman, mam nadzieję, że jest pan przekonany.

— Nie do końca — powiedział komisarz. — Tolek? Wydaje ci się...

— Powinno być dobrze — rzekł aspirant. — Jedna rzecz mnie trochę niepokoi. Czy nie za szybko zakładamy, że to jest chory psychicznie. To może być taki zielony, greenpeace, rozumiecie? Miłośnik zwierząt. Zobaczył, że dzieciaki męczą kota, i odbiło mu. Czytałem o podobnym przypadku, w „Przekroju” chyba. Facetowi oślepił psa czy kota, już nie pamiętam. Jak o tym czytałem, to czułem, że w pisaniu o tym facet wyładował swoją wściekłość, żal, chęć zemsty. Inny mógłby wyładować się inaczej. Wziąłby nóż, siekierę, sztachetę i zemścił się za swojego psa.

— To na jedno wychodzi — powiedział Chęclewski. — Kto tak reaguje, ten jest stuknięty. Quod erat demonstrandum.

— To wcale nie na jedno wychodzi — podchwycił myśl Nejman. — Szajba na punkcie zwierzaków może się nie zakwalifikować u psychiatrów. Z ich punktu widzenia facet będzie całkowicie normalny i będą go słuchać, gdy opowie, w jaki sposób go capnęliśmy i cośmy mu wtedy zrobili.

— Widziałem w swojej karierze wielu opowiadających, co wydarzyło im się na milicji — powiedział adwokat, uśmiechając się krzywo. — Ale nie przypominam sobie żadnego, któremu by formalnie dano wiarę. A jeżeli nawet opowie, w jaki sposób go ujęliście, to co? Myślicie, że ktoś się przejmie głupim kotem?

— Może i nie — powiedział Zdyb. — A co się stanie, jeśli tego kota usłyszy ktoś całkiem ni pri czom? I przyleci zobaczyć, co się dzieje?

— Żartujesz, Tolek — Nejman wzruszył ramionami. — Tym to bym się akurat nie przejmował. Kogo może obchodzić kot?

— À propos kota — powiedział Chęclewski. — Trzeba jakiegoś zorganizować.

— Z tym nie powinno być kłopotu — rzekł Nejman. — Kotów jest pełno. Dzieciaki mojej sąsiadki, na ten przykład, mają kota. Powinien się nadać.

IZA

Iza leżała spokojnie, jak gdyby bała się, że najłżejsze poruszenie może spłoszyć ten oddalający się, nieuchwytny sygnał, bałamutną i kłamliwą zapowiedź nieziszczalnego orgazmu. Przytulony do niej mężczyzna oddychał równo, miarowo, najwyraźniej zapadł już w drzemkę. Buczał autoalarm, daleko i cicho.

— Heniu — odezwała się.

Mężczyzna drgnął, wyrwany z półsnu, zbliżył twarz do jej nagiego ramienia.

— Co, Izunia?

— Niedobrze jest ze mną, Heniu.

— Znowu? — przestraszył się mężczyzna. — Cholera, powinnaś jakoś podregulować ten twój cykl, Iza.

— To nie to.

Mężczyzna odczekał chwilę. Iza nie kontynuowała.

— Więc co? — spytał wreszcie.

— Heniu... Objawem czego są okresy niepamięci?

— Dlaczego pytasz? Masz takowe?

— Ostatnio często. Dość długie. Poza tym halucynacje. Urojenia słuchowe. Omamy.

Mężczyzna spojrział dyskretnie na zegarek.

— Heniu.

— Słyszałem — mruknął, lekko zniecierpliwiony. — I co? Jesteś specjalistką. Jaka jest twoja diagnoza? *Anaemia cerebri*? Początki schizofrenii? Astrocytoma na płacie czołowym? Inne gównie uciskające śródmózgowie? Iza, każdy psychiatra odnajduje u siebie różne podobne objawy, to po prostu skrzywienie zawodowe. Muszę ci mówić, jak niewiele wiemy o mózgu, o zachodzących tam procesach? Moim zdaniem, jesteś po prostu przepracowana. Nie powinnaś spędzać tylu godzin z twoimi kotami, przy tej aparaturze. Wiesz przecież, jak szkodliwa jest wysoka częstotliwość, pola, promieniowanie ekranów. Zostaw to wszystko na jakiś czas, weź urlop. Odpocznij.

Iza uniosła się na łokciu. Mężczyzna, leżąc na wznak, głaskał jej piersi, automatycznym, wyuczonym ruchem, którego nie lubiła.

— Heniu.

— He?

— Chciałabym, abyś mnie zbadał. Na EEG albo izotopem.

— Mogę, czemu nie. Ale...

— Proszę cię.

— Dobrze.

Milczeli.

— Heniu.

— Tak?

— Elżbieta Gruber. Leczysz ją. Co z nią naprawdę jest?

— Interesuje cię to? Prawda, słyszałem. To dość dziwny przypadek, Iza. Przywieźli ją w szoku, z objawami typowymi dla wylewu. Prawie natychmiast przeszła w stan komatyczny, który nie łagodnieje i nie ustępuje. Skłaniam się ku pogładowi, że na szok nałożył się u niej stan zapalny w dniu komory trzeciej lub w wodociągu Sylwiusza.

— *Encephalitis lethargica*?

— Aha. Dlaczego pytasz?

Iza odwróciła głowę. Zza okna, mieszając się z następnym rozpaczliwym buczeniem autoalarmu, rozbrzmiał skowyt psa, urywany, coraz głośniejszy.

— Nogi bym takiemu powyrywał — odezwał się mężczyzna, patrząc w stronę okna. — Ma problemy w pracy albo w domu, a wyładowuje się na zwierzęciu, bydłak.

— Veehal rozdziera Zasłonę — powiedziała wolno Iza.

— Co?

— Veehal. Głos katowanego zwierzęcia. Głos rozpaczcy, strachu, bólu, odbierający zmysły.

— Iza?

— Krzyk, który nie jest krzykiem — Iza mówiła coraz głośniej — Veehal. Veehal rozdziera Zasłonę. Tak mówiła... Ela Gruber. Ona to widziała.

— Podobno... — zająknął się mężczyzna. — Iza! Ona nie mogła... Dziewczynka jest w śpiączce! O czym ty mówisz?

— Ona mówi do mnie. Mówi i każe mi robić różne rzeczy.

— Iza, naprawdę powinnaś wziąć urlop — mężczyzna spojrzął na nią, westchnął. — Ale przedtem przyjdź do mnie, zbadam cię. To ten cholerny stres, ta parszywa robota, wszystko w tym kraju. Nie można się tak tym przejmować, Iza.

— Heniu — Iza usiadła na łóżku. — Czy nie rozumiesz, o czym mówię? Ela Gruber mówi do mnie. Słyszę ją. Ona widziała...

— Wiem, co ona widziała. To zapewne było przyczyną szoku i wylewu. Była świadkiem morderstwa na działkach.

— Nie.

— Jak to?

— To było później. Ona tego już nie widziała. Widziała... deskę położoną na głowie kota, zakopanego po szyję w ziemi. Nogi deptające po tej desce. Oczy... Dwie kuleczki...

— Jezus Maria! Iza? Skąd ty o tym... Od kogo?

— Powie... dzieli mi...

— Kto?

— Muzy... kanci...

— Kto?

Iza, opuściwszy głowę na podkurczone kolana, zatrzęsła się od płaczu.

Mężczyzna milczał. Myślał o tym, jak nieodporne są kobiety, do jakiego stopnia ich babskie emocje rządzą nimi, przeszkadzają pracować, przeszkadzają cieszyć się życiem. O tym, że ogromnym nieszczęściem jest feminizacja pewnych zawodów, absolutnie nieodpowiednich dla kobiet. Z Izą, myślał, naprawdę jest niedobrze. Niepokoił się. Przez chwilę. A po chwili górę wzięła poważniejszy niepokój — co powiedzieć żonie, gdy wróci od Izy do domu. W tym miesiącu wykorzystał już wszystkie dobre tłumaczenia.

Pomyślał, że koniecznie musi zbadać Izę, zrobić jej EEG, przeprowadzić testy. Mógłby to zrobić nawet we wtorek, ale obiecał koledze, że we wtorek wpadnie do niego na działkę, by pomóc truć krety. Cholera, pomyślał, zapomniałem dzisiaj wziąć strychninę ze szpitala.

— Weź urlop, Iza — powiedział.

BŁĘKITNY POKÓJ

— Marylko! — zawołała Iza, patrząc na pusty, pokryty białym prześcieradłem i ceratą stół, na porozrzucane przewody, igły, czujniki, skórzane paski i sprzączki.

— Marylko!

— Jestem, pani doktor.

— Gdzie jest moja kotka?

— Kotka? — zdziwiła się laborantka.

— Kotka — powtórzyła Iza. — Ta pręgowana. Ta, której ostatnio używałam. Co się z nią stało?

— Jak to? Przecież pani sama...

— Co, ja?

— Pani kazała mi ją przenieść... O, tu stoi klateczka. Potem kazała mi pani przynieść mleka. Jak przyniosłam, pani nakarmiła tego kota...

— Ja?

— Tak, pani doktor. A potem otworzyła pani okno. Nie pamięta pani?

Kot wskoczył na parapet. Nawet powiedziałam wtedy, że on pani ucieknie. I kot uciekł. A pani...

— Co, ja? — Iza słyszała muzykę. Potarła twarz dłonią.

— Pani zaczęła się śmiać...

— Muszę, pomyślała Iza, muszę iść do Eli Gruber.

— Dlaczego? Po co?

— Muszę iść do Eli Gruber.

— Dlaczego?

— Ela Gruber mnie wzywa.

DEBBE

Debbe biegła, to szybkoitko drobiąc łapkami, to wyprężając się w długich susach. Wiedziała, dokąd bieć. Daleka muzyka, odległy zew cichej melodii nieomylnie wskazywały jej drogę.

Dobiegła do skraju krzewów, za którymi, niczym powierzchnia zatrutej rzeki, połyskiwał asfalt. Po nim, dudniąc i sycząc jak smok, przemknął, kołyszając się, wielki, ocieżały autobus.

Muszę się z nią pożegnać, pomyślała Debbe. Zanim odejdę, muszę jeszcze się z nią pożegnać. I ostrzec. Po raz ostatni. Ciekawe, gdzie też może być Brema?

Skoczyła.

Nadjeżdżający samochód omiótł ją światłami. Na sekundę dostrzegła czerwoną, tłustą gębę człowieka, dodającego gazu i raptownie skręcającego kierownicę. Samochód runął w jej kierunku, czuła, jak maszyna drga wściekłością, zdecydowaniem i żądzą mordy. Uskoczyła w ostatniej chwili, podmuch musnął jej futerko.

Pobiegła wzdłuż żywopłotu, mały, przegowany cień.

LOCUS TERRIBILIS

Koty były wszędzie dookoła — nieruchome, z uniesionymi głowami, patrzyły, nasłuchiwały. Odwracały głowy za przechodzącą Debbe, witały ją miauknięciami, pełnymi szacunku zmrużeniami oczu. Żaden nie poruszył się, nie podszedł. Znak Pająka Pogońca na czole kotki płonął w mroku widmowym światłem.

Czuła, że to miejsce jest dziwne, niebezpieczne. Wyczuwała opuszkami łapek pulsowanie ziemi, słyszała nierealne szepczące głosy. Przez chwilę, za zasłoną z rozdygotanej mgły, widziała... ogień i krzyże, odwrócone, zatknięte...

Debbe zamruczała w takt melodii. Obrazy znikły.

Z daleka zobaczyła czarny kształt — resztki pieca zarytego w ziemi niczym wypalony wrak czołgu na polu bitwy. Obok pieca, ciemne na tle nieba, trzy niewielkie sylwetki. Podeszła bliżej.

Czarny pies z krzywą, zgiętą łapą.

Szary szczur z długim wąsatym pyszczkiem.

I mały rudawy chomik.

Muzykanci.

ŻÓŁTY POKÓJ

— ...uciekł rozbójnik, co sił w nogach — czytała monotennie babcia — i zdał sprawę hersztowi. To na nic, straciliśmy naszą siedzibę, powiedział. W domu siedzi straszliwa czarownica, która naparskała na mnie i podrapała mi twarz pazurami. Przy drzwiach czai się człowiek uzbrojony w nóż. Na podwórzu ma legowisko czarny potwór, ten uderzył mnie pałą. A na dachu siedział sędzia, który krzyknął: „Dajcie łotra tu!”

Chłopiec zaśmiał się srebrnym głosikiem. Venerdina, leżąca na łóżku, zwinęła się w kłębek, zastrzygła uchem.

— I co dalej? Czytaj, babciu!

— I to koniec bajki. Rozbójnicy uciekli i nigdy nie wrócili, a pies, kot, osioł i kogut zamieszkali w leśnym domku i żyli długo i szczęśliwie.

— I nie poszli tam... no, tam, dokąd się wybierali?

— Do Bremy? Nie. Chyba nie. Zostali w domku i tam sobie żyli.

— Aha — chłopiec zamyślił się, gryząc palec. — Szkoda. Przecież tam właśnie powinni iść. To pies wymyślił, kiedy go wygnali, bo już był stary.

To bardzo brzydko. Ja nigdy nie pozwolę wygnać naszej Mruczki, choćby była nie wiem jak stara.

Venerdina uniosła głowę i popatrzyła na malca żółtym, nieodgadnionym spojrzeniem.

— Śpij, Mariuszku. Już późno.

— Tak — rzekł sennie chłopczyk. — Nawet gdy będzie bardzo stara. U nas i tak nie ma myszy. A oni powinni pójść do tej Bremy. Oni wszyscy byli... Nie zabieraj Mruczki, babciu. Niech śpi ze mną.

— Nie powinno się spać z kotem...

— A ja chcę.

ELA GRUBER

Iza poderwała głowę, budząc się, przeciągnęła ręką po prześcieradle. Za oknem była ciemność. Siedziała na łóżku, a dotyk prześcieradła poraził ją obcością, brutalnie szczerą pewnością, że...

Nie powinna być tutaj.

— Słyszysz mnie? — powiedziała dziewczynka leżąca na łóżku.

Iza kiwnęła głową, potwierdzając to, co było niemożliwe. Oczy dziewczynki były szkliste i puste, po brodzie ciekła jej wążutka, lśniąca strużka śliny.

— Słyszysz? — powtórzyła dziewczynka, sepleniąc z lekka, niezgrabnie poruszając skrzywionymi wargami zlepionymi białawym nalotem.

— Tak — powiedziała Iza.

— To dobrze. Chciałam się z tobą pożegnać.

— Tak — szepnęła Iza. — Ale to przecież...

— Niemożliwe? To chciałaś powiedzieć? Nie szkodzi. Nie udało nam się, dużo nam się nie udało, jasnowłosa. Chcę się z tobą pożegnać. Może cię to zdziwi, ale... polubiłam dotyk twojej dłoni. Posłuchaj mnie uważnie. Jeżeli dzisiejszej nocy zabrzmi veehal, Zasłona pęknie. Nie wiem, czy uda nam się powstrzymać... tamtych. Dlatego musisz uciekać. Co masz zrobić, powtórz.

— Nie wiem — jęknęła Iza.

— Masz uciekać! — krzyknęła Ela Gruber, szarpiąc nagle głową po poduszce. — Uciekać, jak najdalej od Zasłony! Nie staraj się niczego zrozumieć i wierz w to, co widzisz! Wyda ci się, że majaczysz, że to sen, koszmar, a to będzie rzeczywistość! Pojmujesz?

— Nie... Nie pojmuję. Ja... zwariowałam, tak?

Dziewczynka milczała, wpatrzona w sufit maleńkimi jak ukłucia szpilki punkcikami źrenic.

— Tak — powiedziała. — Wszyscyście zwariowali. Już dawno temu. Jeszcze jedno szaleństwo, maleńkie ziarenko na szczycie ogromnej góry szaleństw. Ten ostatni veehal, którego nie miało być. Kto wie, może to dzisiaj? Słuchasz mnie?

— Słucham — powiedziała Iza, zupełnie spokojnie. — Ale ja jestem psychiatrą. Doskonale wiem, że ty nie możesz do mnie mówić. Jesteś w śpiączce, w komatozie. To nie ty. Głos, który słyszę, emituje mój chory mózg. To halucynacja.

— Halucynacja — powtórzyła dziewczynka, uśmiechając się. To przykurcz mięśni twarzy, wyłącznie przykurcz powylewowy, pomyślała Iza, w tym nie ma niczego upiornego. Niczego upiornego, pomyślała, czując, jak jeżą się jej włosy na karku.

— Halucynacja, mówisz — ciągnęła Ela Gruber. — Czyli coś, czego w istocie nie ma. Fałszywy obraz. Czy tak?

— Tak.

— Można to słyszeć. Można to widzieć. Ale tego nie ma. Czy tak?

— Tak.

— Jak my bardzo się różnimy, ty i ja. Podobno mój mózg jest mniej rozwinięty od twojego, ale ja, dla przykładu, wiem, że to, co widzę i co słyszę, jest. Istnieje. Gdyby nie istniało, jak można by to zobaczyć? A jeżeli istnieje i ma szpony, kły, żądło, to trzeba przed tym uciekać, bo może cię okaleczyć, zmiażdżyć, rozszarpać. Dlatego właśnie musisz uciekać, jasnowłosa. Przez przedartą Zasłonę przejdą halucynacje. To dobre określenie na coś, co nie ma własnej postaci, ale zyskuje ją w mózgu tego, kto na to patrzy. O ile ten mózg wytrzyma taką próbę. A mało który wytrzyma. Ostatni raz mówię: żegnaj, jasnowłosa.

Głowa Eli Gruber obróciła się bezwładnie w bok, spoglądając na Izę martwym, szklanym okiem.

KOT

— Dobra, już. Teraz — szepnął Chęclewski.

Nejman spojrział na zegarek. Była dziewiąta dwadzieścia trzy. Gdy patrzył, ostatnia cyferka zatańczyła jak kościotrup w animowanym filmie, stając się czwórka. Po torach, za ogródkiem, w głębokim, obrośniętym jarzębiną wykopie łoskotał i dudnił pociąg.

— Na co czekamy, cholera? — denerwował się adwokat.

Nejman wyciągnął z plastikowego worka gruby tłumok okręcony kilkoma ręcznikami i jutowym sznurkiem. Z zawiniątka wystawał biało-czarny koci łeb, z drugiej strony — ogon i tylne łapki zwierzątka.

Nejman wydobył z kieszeni kurtki kombinerki izolowane pomarańczowym plastikiem.

Dalej, za altankami, Zdyb, przyczajony obok Wendy, ciężko bulgocącego przez zakatarzony nos, wzdrygnął się na odgłos, który dobiegł go od strony ogródków.

— Jezu — smarknął Wenda. — Ale to go musi boleć...

Na Dołach koty przypadły do ziemi, szczerząc białe kły, płasko kładąc uszy.

Muzykanci, cała czwórka, byli gotowi.

ZDYB

Dudnienie pociągu ścichło, echem toczyło się jeszcze po betonowych ścianach bloków. I wtedy potworny wrzask od strony ogródków powtórzył się, eksplodował jak granat, wzbił się nieprawdopodobnie wysoko, falujący, rozedrgany, straszny.

— Matko Boska! — krzyknął Wenda. — Tolek! To nie kot!

Zdyb zerwał się, rozpinając kurtkę, wyszarpnął pistolet z kabury. Ryk — bo to był już ryk, nie wrzask, urwał się, pękł, wibrując jak przecięty nożycami stalowy drut. Zdyb biegł. Przeskoczył żywopłot, przedarł się przez krzaki agrestu. W tym momencie noc rozszarpał drugi wrzask, jeszcze potworniejszy od poprzedniego, krótki, urwany.

— Andrzejeeej!!! — ryknął aspirant.

Rwąc przez pomidorowe tyczki, zderzył się z pełną wody beczką, odbił się od niej jak od muru, potknął się, upadł, zerwał się, poślizgnął, upadł ponownie, podpierając się odruchowo, wtłoczył lufę P-83 w mokrą ziemię. Za sobą słyszał przekleństwa Wendy, który utknął na elastycznej przegrodzie drucianej siatki.

— Andrzejeeej!!!

Potknął się znowu. Zobaczył, o co. I wtedy zaczął krzyczeć.

Nejman nie miał głowy.

Coś uderzyło go w pierś. Zdyb, klęcząc, zadławił się i wrzasnął, wrzasnął do bólu, tak że własny wrzask zakołatał mu w uszach. Gwałtownym, nie skoordynowanym ruchem odtrącił od siebie rękę w skrwawionym, popelinowym rękawie, z którego sterczała oślizgła, gładka, biała nawet w mroku kość.

Na trawniku, na tle wyraźnej, rzadkiej palisady słoneczników coś siedziało. Coś, co było wielkie. Wielkie jak ciężarówka. Granatowe niebo, podczerwienione dalekim neonem, rozświetlało się lekko za plecami siedzącego na trawie ogromu — wyglądało tak, jak gdyby to ogromne coś przedarło się przez niebo i noc, zostawiając za sobą dziurę i choinkę pęknięć.

Kolejny pociąg, wpadając na przejazd kolejowy, smagnał zarośla jaskrawym batem światła. Zdyb otworzył usta i zachrypiał.

Przykucnięty na trawniku garbaty stwór o ogromnym, pokrytym naroślami brzuszysku, olbrzymich uszach i wydłużonym, najeżonym zębami pysku, uniósł ciało Chęclewskiego w sękatych łapach. Reflektory pociągu zakotłowały ogródki tysiącem ruchliwych cieni. Zdyb chrypiał.

Stwór otworzył paszczkę i z chrzęstem, jednym kłapnięciem, odgryzł Chęclewskiemu głowę, daleko, z rozmachem, odrzucając korpus. Zdyb usłyszał, jak ciało huknęło o konstrukcję z falistej blachy. Mocz ciepłą falą spływał mu po udzie. Nie widział już nic, ale wiedział, czuł, że potwór, miarowo przedstawiając krótkie, wielkostope łapy, idzie ku niemu.

Zdyb chrypiał. Bardzo chciał coś zrobić. Cokolwiek.

Ale nie mógł.

KROPLE

Muzyka klejąca Zastłonę rwała się, pękała, rozpadała na elastyczne strzępy. Pęknięcie powiększało się, z tamtej strony pełzły kłębiaste, cuchnące opary, wielkie, postrzępione cirusy, mgła brzemenna ciężką jak plwocina wilgocią, mieszając się z kwaśnym smogiem miasta. Na dachy, na asfalt, na szyby, na samochody padły pierwsze, rzadkie krople.

Padły krople żółtawe, syczące w zetknięciu z metalem, wciskające się w szpary i szczeliny, gdzie paliły izolację kabli i gryzły miedź przewodów.

Padły krople brunatne, wielkie i lepkie, a tam, gdzie padły, bledła trawa, liście zwijały się w trąbki, czerniały lodygi i gałązki.

Padły krople atramentowosine, a tam, gdzie padły, parował i topił się beton, gotowała cegła, a tynk płynął po murze jak łzy.

I padły krople przezryste, które wcale nie były kroplami.

RENATA

Renata Wodo miała niegroźną obsesję, dziwaczny zwyczaj — niezmiennie, kładąc się do łóżka, sprawdzała, czy pokrywa sedesu jest opuszczona, a drzwi do łazienki zamknięte. Sedes, otwarty na tajemniczy i złowrogi labirynt kanałów i rur, był zagrożeniem — nie mógł pozostać

otwarty, nie zabezpieczony — wszakże „coś” mogło z niego wyjść i zaskoczyć Renatę podczas snu.

Tej nocy Renata jak zwykle opuściła pokrywę. Przebudziwszy się, zaniepokojona, złana zimnym potem, targając się w półśnie jak ryba na lince, starała się przypomnieć sobie, czy zamknęła drzwi. Drzwi do łazienki.

Zamknęłam, pomyślała usypiając. Na pewno zamknęłam.

Myliła się. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia.

Pokrywa sedesu uniosła się powoli.

BARBARA

Barbara Mazanek panicznie bała się wszelkich owadów i robaków, ale prawdziwy, tryskający adrenaliną strach i miotający całym ciałem wstręt budziły w niej korki — płasko—obłe, ruchliwe, brązowe monstra, zbrojne w cęgowate kleszcze na końcu odwłoka. Barbara głęboko wierzyła, że ta szybko biegająca, wciskająca się w każdą szparę obrzydliwość czyha tylko na okazję, by wypełznąć jej do ucha i od środka wyżreć cały mózg. Spędzając wakacje pod namiotem, każdej nocy pieczołowicie wpychała do uszu korki ukrecone z waty.

Tej nocy, budząc się zaniepokojona, odruchowo przycisnęła lewe ucho do poduszki, a prawe przykryła ramieniem.

Nie miało to żadnego znaczenia.

Przez nieszczelne drzwi balkonowe, niczym brudna, oleista fala, zaczęły sączyć się i rozlewać po pokoju miliardy ruchliwych owadów. Oczka świeciły im czerwono, a kleszcze na końcach odwłoków były ostre jak brzytwy.

MUZYKANCY

— Koniec — powiedział Kersten. Debbe milczała, siedząc nieruchomo z szeroko otwartymi oczami, leciutko poruszając czarnym końcem ogonka.

— Koniec — powtórzył pies. — Itka, nie możemy niczego zrobić. Niczego. Słyszycie? Pasiburduk, przestań, to nie ma sensu.

Chomik przestał grać, znieruchomiał, uniósł ku górze czarne guziczki ślepi. Taki już jest, pomyślał Kersten, nie zmieni się. Wszystko mu trzeba powtarzać dwa razy. Cóż, to tylko chomik.

Debbe milczała. Kersten położył się, opuścił pysk na łapy.

— Nie udało się i nie ma co dłużej próbować — powiedział. — Zasłona pękła ostatecznie i nie załatamy jej tym razem. Przeszli. Tamci. Oczywiście, Zasłona wkrótce zrośnie się sama, ale nie muszę wam mówić...

— Nie musisz — Itka wyszczerzył zęby. — Nie musisz, Kersten.

— Pewne szanse jeszcze to miasto ma. Dopóki Krostowaty nie przeszedł na tę stronę, miasto ma szanse.

— A inne miasta? — odezwał się niespodziewanie Pasiburduk.

Kersten nie odpowiedział.

— A my? — zapytał szczur. — Zostajemy?

— Po co?

Itka usiadł, opuszczając szpiczasty pyszczek.

— A zatem... Zgodnie z planem?

— Widzisz inne rozwiązanie?

Z oddali, od strony osiedla dobiegł ich dźwięk. Fala dźwięku.

Kersten zjeżył się, a Pasiburduk skulił w rudą kulkę.

— Masz rację, Kersten — powiedział Itka. — To koniec. Odchodzimy do Bremy. Tam czekają inni.

Szczur obrócił się w stronę Debbe, wciąż siedzącej nieruchomo jak puszysty, przegowany posążek.

— Debbe... Co ci jest? Nie słyszałaś? Koniec!

— Zostaw ją, Itka — zawarczał Kersten.

— Wyglądasz — syknął szczur do kotki — jakby ci było ich żal. Co, Debbe? Żal ci ich?

— Co ty możesz wiedzieć, Itka — miauknęła cicho, złowrogo kotka.

— Żal? Może i tak, żal mi ich. Żal mi dotyku ich rąk. Żal mi szmeru ich oddechów, gdy śpią. Żal mi ciepła ich kolan. Żal mi naszej muzyki, którą, ledwo poznaną, tracę. Bo to jest nikomu niepotrzebna muzyka i nigdy nikogo już nią nie uratujemy. Dlatego, że w każdej minucie, w każdej sekundzie, w tysięcznych punktach tej planety rozbrzmiewa veehal i będzie rozbrzmiewał coraz częściej. Aż do końca. Was też mi żal. Ciebie, Itka, i Kerstena, i Pasiburduka. Żal mi was, przegranych, zmuszonych do ucieczki. I siebie też mi żal, bo przecież i tak pójdę z wami, jako jedna z was. Chociaż to nie ma żadnego sensu.

— Mylisz się, Debbe — rzekł spokojnie Kersten. — My nie uciekamy. Tym razem nam się nie udało. Ale w Bremie... w Bremie czekają inni. Od niepamiętnych czasów Muzykanci schodzą się do Bremy. A gdy będzie nas więcej, silniejsza będzie i nasza muzyka, i kiedyś zamkniemy Zasłonę ostatecznie i na zawsze, uczynimy z niej nieprzenikalny mur. Dlatego mylisz się, sądząc, że nasza muzyka jest niepotrzebna. I że ją utraciłaś. To nieprawda. I ty o tym wiesz.

— Uczucia biorą u ciebie górę nad rozumem, Debbe — dodał Itka. — Co z tego, że to miasto trochę się wyludni? W końcu zasłużyli na to. A ty... myślisz o ratowaniu jednostek. Pojedynczych ludzi, tych, których lubisz? To nieracjonalne. Myśl o gatunku. Jednostki nie mają znaczenia.

Kotka wstała raptownie, przeciągnęła się, mierząc szczura zielonym, złym spojrzeniem, w którym przez sekundę zagrała i zabłysła krwawa nienawiść gatunków. Itka nie drgnął nawet. Był Muzykantem i Debbe była Muzykantką. Patrzył, jak odchodzi na bok, pomiędzy osty i baldachimy traw, wyniosła, dumna i niepokonana. Do końca.

— Sentymalna idiotka — mruknął, gdy był pewien, że kotka go już nie usłyszy.

— Zostaw ją — warknął Kersten. — Nie możesz jej zrozumieć.

— Mogę — wyszczerzył zęby szczur. — Ale nie chcę. Tłumaczyć dlaczego, też nie chcę. Najważniejsze, że jest z nami. To dobra Muzykantka. Kersten, może byśmy tak sobie wreszcie poszli?

— Poszli? — uśmiechnął się pies. — Dlaczego mamy iść, jeżeli możemy pojechać?

DIETER WIPFLER

Dieter Wipfler przetarł oczy wierzchem dłoni, usiłując opanować dreszcze, mdłości i zawrót głowy. Wytarł spocone ręce o spodnie, chwycił kierownicę, ruszył, gdy zapaliło się zielone światło. Nie wiedział, gdzie jest. Z całą pewnością nie była to droga na Świecko, na której powinien się znajdować.

Ulice były puste, wyludnione, jak ze złego snu. Dieter Wipfler przymknął oczy, mocno je zacisnął, otworzył. Co ja tu robię, myślał, mijając krańcówkę tramwaju, gdzie ja jestem? Co ja tu robię? Co się ze mną dzieje, *verfluchte Scheisse, ich muss krank sein*. Jestem chory. Zjadłem coś trującego. Muszę się zatrzymać. Nie wolno mi jechać w takim stanie.

Zatrzymać się. To, co leżało na krawężniku, to nie mógł być trup. Muszę się zatrzymać!

Dieter Wipfler nie zatrzymał się. Minął krańcówkę tramwaju i ogródki działkowe, jechał dalej żuźlową drogą, skrajem okropnego pustkowia, prosto w dziki księżycowy pejzaż. Jechał, chociaż nie chciał jechać. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie mógł wiedzieć.

Zza rozteńczowionej, drżącej zasłony Dieter Wipfler widział kończystą, smukłą wieżę kościoła buchającą jezorami ognia. Widział drewniane rusztowania i zwisające z nich okaleczone ciała.

Das ist unmöglich!

Widział małego, czarnego człowieka, wymachującego krucyfiksem, krzyżącego...

Das ist unmöglich! Ich träume!

Locus terribilis!

Ogromna ciężarówka jechała wolno, miażdżąc kołami żużel, wygniatając w połaciach gliny zębate ślady protektorów. Na niebieskim boku potężnej przyczepy widniał napis, złożony z wielkich, trupiobiałych liter:

KÜHN TEXTILTRANSPORTE GMBH

A poniżej była nazwa miasta:

BREMEN

ŻÓŁTY POKÓJ

Chłopiec spał niespokojnie, rzucał się. Venerdina postawiła uszy, wyteżyła słuch.

To coś, co powoli pełzło po murze, nie miało stałego kształtu — to była czarna plama, kłębek ciemności, pulsujący, rozdmajający się, penetrujący mrok długimi mackami. Sierść na grzbiecie Venerdiny zjeżyła się jak szczotka.

Stwór, już na parapecie uchylonego okna, nadął się, zaczął twardnieć, unosić się na pokręconych odnóżach. Najeżył się kolcami, wznosił w górę żądlasty ogon.

Kotka zmieniła pozycję. Przeciągnęła się lekko, wyciągnawszy obie łapki, wystawiła pazury. Wpatrzona w stwora szeroko otwartymi oczami, położyła uszy, skurczyła pyszczek, obnażając kły.

Stwór zawahał się.

Tylko spróbuj, powiedziała Venerdina. Spróbuj tylko. Przyszedłeś mordować śpiących, spróbuj stawić czoła tej, która czuwa. Lubisz zadawać ból i śmierć? Ja również. No, wejdz, jeśli się ośmielisz!

Stwór nie poruszył się.

Precz, powiedziała kotka z pogardą.

Przyczajony na parapecie kłębek mroku, czarny jak nicość, skurczył się, oklapł. I znikł.

Chłopiec jęknął przez sen, obrócił się na drugi bok. Oddychał równo.

Venerdina lubiła słuchać, jak oddycha.

IZA

Ela Gruber nie żyła. Miała oczy otwarte, ale Iza była pewna, że nie żyje. Nie bardzo wiedziała, co zrobić. W tym momencie otworzyły się drzwi.

Weszła pielęgniarka.

— Obawiam się... — zaczęła Iza i urwała.

Pucołowata twarz pielęgniarki, jeszcze nie tak dawno temu sympatycznie naiwna, zmieniała się. Teraz była to twarz idiotki, kretyńsko uśmiechniętej hebefreniczki.

Pielęgniarka, nie zauważając Izy, podeszła do łóżka Eli Gruber, bezmyślnym, automatycznym ruchem poprawiła poduszkę. Ze stolika, stojącego obok, wzięła szklankę. Zapatrzona w okno, zgmiotła ją w pięści.

Z jej dłoni spłynęła strużka krwi. Pielęgniarka nie zwróciła na to uwagi, jej twarz nie drgnęła nawet. Podwinąwszy lewy rękaw, odłamkiem szkła rozcięła sobie wewnętrzną stronę przedramienia, ostrym, gwałtownym pociągnięciem — od zgięcia łokcia aż po wnętrze dłoni — raz, potem drugi raz. Krew bryzgnęła na biały fartuch, na połyskliwy blat stolika, na pościel, siknęła ostro na linoleum. Pielęgniarka zatrzęsała się we wstrzymywanym śmiechu, uniosła rękę, lubując się tętniącymi falami buchającej krwi.

— Na pomoooooc! — wrzasnęła Iza, przełamując dławiacą jej gardło zgrozę. — Ludzie! Na pomoc! Niech ktoś pomoże!

— ...dzieeeee! — zawtórował histeryczny krzyk z korytarza.

— Ludzieeeee!

Do krzyku dołączyły inne, głośne, nienaturalne. Iza zorientowała się, że nakłada się na nie wycie syreny karetki. Pod pielęgniarką ugięły się nogi, dziewczyna ciężko klapnęła na linoleum, schyliła głowę, zaczęła łkać.

Iza, cofając się, nie mogąc oderwać wzroku od pielęgniarki, wymacała za plecami klamkę, wybiegła na korytarz.

Przy kaloryferze, opierając czoło o ścianę, klęczał młody lekarz, którego nie znała, rękawem wycierał ciekące po twarzy łzy. Spojrzał na Izę błędnym, przestraszonym wzrokiem.

— To wojna, proszę pani — wybełkotał. — To pewnie bomby z gazem psychotropowym. Pewnie użyto broni bakteriologicznej. Wszyscy powariowali... Wszyscy... To wojna! Trzeba zejść do schronów!

Iza cofnęła się, przerażona. Obok, z oddziału, słychać było brzęk i odgłosy walki. Coś ciężkiego huknęło o zamknięte drzwi.

— Gdzie tu jest schron? — krzyknął lekarz przy kaloryferze. — Ja nie chcę umierać.

— Miliicjaaaa! — wył ktoś piętro wyżej. — Jezuuuuu! Ratunkuuu!

Drzwi otworzyły się, oparte o nie ciało, zbryzgane czerwienią, wysunęło się na korytarz. Ogromny, półnagi, nie ogolony mężczyzna, uzbrojony w żelazny pręt, powoli, ostrożnie przestąpił nad trupem. Lekarz przy kaloryferze wrzasnął, wtulając twarz w żeliwne żeberka. Półnagi zakrakał dzikim śmiechem i uniósł pręt.

Iza obróciła się i popędziła przez korytarz, ścigana krzykiem i tępyimi odgłosami razów.

Wybiegła przed szpital, przed samym wejściem poślizgnęła się na zwiędłych liściach, z trudem utrzymała równowagę. Przed szpitalem stała karetka pogotowia, migocząca prawym kierunkowskazem. Boczne drzwi były otwarte, kierowca leżał na siedzeniach, jego ręka, fioletowosina w świetle jarzeniówek, zwisała bezwładnie na zewnątrz. Z głębi szpitala dobiegało obłąkańcze wycie, wrzask, brzęk tłuczonych szyb i szklanych naczyń.

Ulicą przemknął samochód z rozbitym przodem, z przygarbioną, pogiętą pokrywą silnika. Nad miastem, od strony ogródków działkowych, unosiła się powoli łuna, chmura dymu i krzyki, z oddali przypominające brzęczenie chrabąszczy.

Iza spojrzała na niebo, które zdążyło już nabrać koloru purpury przetykanej cienkimi, złotymi nitkami. Krople upadły jej na twarz. Starła je i pobiegła.

W domu po przeciwnej stronie ulicy z brzękiem wyleciała okienna szyba, a za nią dziecko. Trzykrotnie obróciło się w powietrzu, zanim plasnęło o beton. Iza biegła. Krople — a może łzy — spływały jej po policzkach.

Obok jej fiata leżał mężczyzna w pasiastej piżamie, w półoparty o mur przy bramie. Oddychał, rzeżąc, przy każdym wydechu u nozdrzy rosły mu krwawe, pękające bańki.

Nie mogła odszukać kluczyków w torebce. Drżącymi rękoma wytrząsnęła na chodnik całą zawartość. Podniosła tylko kluczyki i portmonetkę.

Coś zgrzytnęło tuż obok niej, aż drgnęła, upuszczając kluczyki.

Żeliwna pokrywa kanału ściekowego podskoczyła, upadła na chodnik, a z kanału, z głuchym mlaśnięciem, trysnęła krew, zmieszana z nieczystościami, szeroko rozlewając się po asfalcie, wlewając się jej do butów obrzydliwym ciepłem. Iza wrzasnęła, cofnęła się od samochodu, potknęła się o ciało mężczyzny w piżamie, przyłgnęła plecami do muru. W czarnej, lśniącej otchłani kanału coś poruszało się, pluszcząc i bulgocąc.

Zza rogu ulicy, wyjąc, wybiegł człowiek, za nim drugi, obaj w szaleńczym tempie minęli Izę, pobiegli dalej. Iza zamarła, uniosła głowę.

Wiatr, ciepły wiatr, który zerwał się nagle, uderzył w nią przerażającym smrodem.

Zza rogu ulicy...

Iza знаła to uczucie. Pamiętała je z dzieciństwa — sen, który tylekroć sprawiał, że budziła się z krzykiem. Sen, w którym sparaliżowana, bezwolna, patrzyła na drzwi, zamknięte od wewnątrz na zasuwę, wiedząc, że za chwilę, pomimo zasuwy, te drzwi jednak otworzą się. Otworzą się, a za nimi stanie coś, przed czym nie ma ratunku ani ucieczki. Coś, co nie zostawia nadziei.

Nie wiedząc o tym, krzyczała cienkim, nieustającym falsetem, wizgiem katowanego zwierzęcia. Nagle stała się zwierzęciem, tu, na tej ciemnej, zalanej krwią i gównem ulicy, wśród asfaltu, betonu, szkła, samochodów i elektryczności, wśród tysięcznych wytworów cywilizacji, z których żaden nie miał w tej chwili najmniejszego znaczenia. Nagle była bobrem dławionym elastycznym drutem sideł, lisem, którego łapę miazdzą stalowe szczęki pułapki, foką tłuczoną drągiem po głowie, sarną postrzeloną z obrzyna, tarzającym się w konwulsjach otrutym szcurem. Była tymi, z którymi dzieliła strach i ból, i pewność, że za chwilę będzie niczym — bo niczym jest zimny, zbroczoney, cuchnący ochłap.

To coś, co za rogiem ulicy zgrzytało i chrobotowało, akcentując swoje kroki ciężkim, chrapliwym dyszeniem, wyszło i spojrzało na nią złocisto–karminową poświatą ogromnych oczu.

Wrzask zgasł w gardle Izy w zduszonym rżeniu. Jej świadomość, rozum, inteligencja i wola eksplodowały i pękły, jak ciśnięta o bruk żarówka.

Krostowaty przeszedł przez przedartą Zasłonę.

Łódź, sierpień 1990